

*K*RONIKI
ROZDARTEGO ŚWIATA

ASYSTENT CZARODZIEJKI

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2016
Text © copyright by Aleksandra Janusz, 2016

Ilustracja na okładce *Milena Młynarska*
Typografia *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

ALEKSANDRA JANUSZ

*K*RONIKI
ROZDARTEGO ŚWIATA

ASYSTENT CZARODZIEJKI



NASZA KSIĘGARNIA

Następnego ranka po tym, jak uratowaliśmy świat od zagłady, rzeński blask słońca opromieniał miasteczko. Ptaszki ćwierkały, liście szumiały, a strumyk na wzgórzu ciurkał, jakby nie miał nic innego do roboty. Kłębki puchu z topoli zaśmiecały powietrze, wywołując okresową plagę kataru siennego. Krótko mówiąc, rozkwitała wiosna.

Chciałbym móc należycie ją docenić.

Moja głowa ważyła jednak jakieś tysiąc funtów. Miałem doszczętnie przepalone kanały energetyczne, zupełnie jakbym poprzedniego dnia wypełnił je po brzegi kwasem azotowym – co zresztą niewiele odbiegało od prawdy. Myśl o jedzeniu przyprawiała mnie o odruch wymiotny, a równocześnie dręczyło mnie pragnienie godne smoka. Żałowałem, że nie zginąłem na Przełęczy Trzech Koron, razem z Czarną Meg, w pełni odpowiedzialną za mój obecny żaloszny stan.

Gdybym zginął, przynajmniej nie musiałbym wysłuchiwać pretensji mojej narzeczonej.

– Niewiarygodne. Ona jest całkowicie niepoważna! Mogę się założyć, że jak zwykle tego nie zgłosisz. Na Pustkę, przecież to kryminał!

Przypatrywałem się Amandine z pewną dozą stoicyzmu. Krążyła wokół stołu, nastroszona jak wściekła wiewiórka. Nie znalazłem dobrej odpowiedzi. Nie

bardzo mogłem się zdobyć na cokolwiek, oprócz bezmyślnego gapienia się na rude loki i kształtną pupę wybranki mego serca, niekoniecznie w tej kolejności. Nie miałem nawet ochoty wstać z krzesła. Bolały mnie mięśnie, a poza tym najchętniej przespałbym cały dzień. O ile dałbym radę zasnąć. Zresztą na pewno potrzebowano mnie w pracy.

– Ciszej, kochanie. Proszę, ciszej.

– Powinieneś złożyć oficjalną skargę w Związku. Wiesz, że powinieneś. Nie po raz pierwszy Meg poleciła ci przekroczyć twoje kompetencje zawodowe.

– Przecież wygraliśmy – sprzeciwiłem się słabo. Gremliny tańczyły mi pod czaszką. Zastanawiałem się, czy nie straciłem na dobre zdolności do przetwarzania magii. – Uratowaliśmy połowę Marchii Granicznej, może nawet cały kontynent.

– Kazała ci przetworzyć całego cholernego duszomoka!

– Oj, nie całego! – jęknąłem. – Może z osiemdziesiąt procent. Wspierały mnie trzy czarodziejki i stabilny rytuał. Lepszego pomysłu i tak nie mieliśmy.

– Mogłeś chociaż odmówić! Czy wyprały ci mózg do tego stopnia, że w ogóle nie zdawałeś sobie sprawy z ryzyka?

– Plan Meg był dobry. Spójny i racjonalny. Obliczenia się zgadzały. Nie miałem powodu się sprzeciwiać...

– Czy ty w ogóle nie widzisz – wybuchła Amandine – że ona cię traktuje jak swoją własność?! Ulubione zwierzątko albo chowańca? Dlaczego nigdy nie kupiła sobie smoka miniatutki czy domowego żywiołaka jak każdy

inny czarodziej na jej miejscu? Bo ty jesteś znacznie bardziej użyteczny! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak cię upokarza, jak to upokarza nas oboje? Nie jesteś czarodziejem. Nikt nie powinien zlecać asystentom zadań podobnego kalibru. Pewnego dnia Meg poprosi cię o coś, co przekroczy twoje możliwości. I w końcu cię zabije.

Nie dała mi szansy na odpowiedź. Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Poczucie winy opornie przebijało się przez magicznego kaca.

– Cóż – westchnąłem bezsilnie – Amandine zawsze lubi dramatyzować.

Wstałem z krzesła i rozejrzałem się za świeżą koszulą. Byłem już spóźniony do pracy i raczej miałem pewność, że tego dnia nie dam rady dopełnić moich zwykłych obowiązków. Potrzebowałem wolnego dnia. A także solidnego kufła piwa.



Przybyliśmy do Ombre kilka dni wcześniej, w odpowiedzi na pilne wezwanie Straży Granicznej, które zresztą nie zaskoczyło nas w najmniejszym stopniu. Góry Zwietrzałe były niestabilne od czasów Rozdarcia, kiedy to Magowie Pustki dosłownie rozszarpali świat na kawałki. Nowe rozpadliny pojawiały się w okolicy z pewną regularnością. Straż Graniczna znakomicie dawała sobie radę ze zwalczaniem pustkostworów i badaniem miejscowych na obecność Piętna. Zawsze jednak istniało ryzyko, że natkną się na coś większego, i właśnie tak się stało.

Duszosmoki były legendarną bronią Magów Pustki. Tworzono je, ma się rozumieć, z duszy smoka. Ta technologia, jak zresztą wiele innych, przepadła po Rozdarcu. I bardzo dobrze, bo moim zdaniem nikomu nie potrzeba monstualnych magicznych konstruktów, zbudowanych przy użyciu tysięcy jednostek mocy, na wyłącznych usługach czarodziejów. Nawet jeżeli są nasi.

W przeciwieństwie do zwykłych potworów smok nie wylazł z Pustki. Pewnego pięknego wiosennego dnia przebudził się z wielowiekowego snu w górach, za sprawą rozpadliny, która raczyła się otworzyć niemal pod jego zadkiem. Nietrudno zgadnąć, że nie poprawiło mu to humoru.

Dalej sprawa potoczyła się łatwym do przewidzenia torem. Miejscowi wysłali prośbę o pomoc do Gildii Magów. Gildia wyznaczyła Czarną Meg. Albo, jak podejrzewałem, Meg sterroryzowała wierchuszkę Gildii, aby to ją wyznaczono do pomocy. Szefowa chętnie podejmowała się najbardziej niebezpiecznych zadań, szczególnie jeżeli wiązały się z Wojną Rozdarcia oraz Magami Pustki. Tak czy inaczej, od razu weszła w rolę szalonego naukowca. Jej bagaż podręczny zawierał ze dwadzieścia funtów woluminów po saksońsku, bretońsku, teutońsku, a nawet madziarsku, a mam na myśli tylko te książki, które zamierzała przeczytać w trakcie podróży. Resztę zapakowała do walizki z domem.

Znaleźliśmy się w miasteczku późnym popołudniem. Burmistrz, Randall Hardy, poprowadził nas prosto na pole kempingowe. Chcąc zachować prywatność, wynająłem razem z Amandine pokój w Srebrnej Gęsi, ale Czar-

na Meg posiadała własne lokum. A zajmowanie się nim należało do moich obowiązków.

Wyjąłem walizkę z dylizansu. Nie ważyła szczególnie dużo, a przynajmniej niewiele więcej niż zwykła aktówka. Pokryta z wierzchu cienkimi listwami mahoniu i ze srebrnymi okuciami już na pierwszy rzut oka wyglądała jak luksusowy, wykonany na zamówienie magiczny przedmiot. Położyłem ją pośrodku placyku.

Moja pracodawczyni została na chodniku. Nawet z daleka zwracała na siebie uwagę. Była wysoka i upiornie blada, a nad jej głową unosiła się niedorzecznie wielka masa lśniących loczków barwy antracytu, spiętrzonych kwintyliardem grzebyków i spinek w chybioonej próbie ujarznienia ich w kok. Meg miała spojrzenie ostre jak żyłетки i cienkie usta, które chętnie wykrzywiała w sarkastycznym uśmiešku. Tego dnia włożyła suknię w kolorze ciemnej zieleni, zapiętą aż pod szyję i niemodną mniej więcej od pół wieku. Szefowej nie obchodziły tak banalne zagadnienia jak moda. Nosila ubrania, dopóki się nie zdarły, a ponieważ konserwowała je w magiczny sposób, jej garderoba przypominała dobrze utrzymany antykwariat.

Na ramieniu Meg siedziała chuda czarna kotka imieniem Śliwka. Nie dało się nie zauważyć jej podobieństwa do pani.

– Dawaj, Vince.

Czyniąc honory domu, wydałem dwa kwanty magii.

– Domku, otwórz się! – rozkazałem.

I tyle. Żadnych niezrozumiałych fraz po bretońsku. Żadnej poezji. Żadnych zbędnych imponująco brzmią-

cych komend. Hasło brzmi: „Domku, otwórz się”. Bardzo charakterystyczne, jeżeli chodzi o Meg.

Cofnąłem się kilka kroków. Składany dom zaczął lśnić i cicho brzęczeć. Chociaż widziałem to już z tysiąc razy, wciąż nie potrafiłem oderwać wzroku od tego, co się działo.

Waliza puchła, równocześnie zmieniając kształt. Ściany rozwijały się niczym płatki kwiatu. We wszystkich możliwych miejscach pączkowały wieżyczki – Meg lubiła wieżyczki. Dachówki rosły jak rybie łuski, najpierw cienkie i przezroczyste, potem twarde i ciemne, ceglastej barwy. Emanujące bladym światłem szkło spłynęło z framug okien i uformowało szyby. Wreszcie trawnik rozpostarł się na podobieństwo dywanu, a kształty, które na pierwszy rzut oka przypominały młode, zwinięte liście paproci, przeistoczyły się w niedużą jabłoń i dwie latarnie. Pośrodku trawnika wyskoczyły kamyki tworzące ścieżkę aż pod same schodki. Bling! Gotowe.

Staliśmy przed niedużym, lecz całkiem luksusowym drewnianym domkiem, ozdobionym stanowczo zbyt dużą liczbą wieżyczek. Wyglądał jak coś pomiędzy letnią rezydencją szlachcianki a chatką wieźmy, czyli całkiem tak jak trzeba.

Otworzyłem drzwi. Śliwka wbiegła do środka z radosnym miauknięciem. Za nią, nie spiesząc się szczególnie, podążyła Meg.

Z ciężkim westchnieniem opadłem na kanapę w salonie. Miałem za sobą długi i ciężki dzień, a w perspektywie co najmniej tydzień wytężonej pracy. Nie byłem czarodziejem ani nawet półaktywnym Źródłem, moje ciało

męczyło się znacznie szybciej. W dodatku zaczynałem się starzeć – niewiele brakowało mi do czterdziestki – i w związku z tym potrzebowałem codziennych ćwiczeń, żeby dotrzymywać kroku mojej pracodawczyni.

Nazywam się Vincent Thorpe i od dwudziestu czterech lat pełnię rolę asystenta Margueritte de Breville de Branche d'Ambre, szlachcianki, czarodziejki i jednego z najętszych umysłów w całej Gildii Magów na Arborii.



Każdego ranka zajmowałem się domem. Oczywiście nie w takim znaczeniu, jakie w pierwszej chwili przychodzi na myśl. Mała willa sprzątała się sama, pod warunkiem że zapewniono jej dość energii. Zainstalowano w niej także automagiczną pralko-suszarke i zmywarke, która teleportowała naczynia bezpośrednio do szafki. Wbrew temu, co myślicie, takie wyposażenie należy do rzadkości nawet w szlacheckich rezydencjach. Ze względu na zużycie mocy jest po prostu zbyt kosztowne na większą skalę, ale dla domku kempingowego nadaje się świetnie.

Zacząłem pracę o ósmej. Margueritte jeszcze spała. Podejrzewałem, że siedziała w pracowni do trzeciej czy czwartej nad ranem, jak przez ostatnich kilka dni, i że nie obudzi się przed dziesiątą. Miałem aż zbyt wiele czasu, aby dopełnić codziennych obowiązków, zanim Meg zarzuci mnie papierami i rozpocznie się moja właściwa praca. Jak już wspominałem, jestem asystentem, a nie pokojówką.

Najpierw zająłem się kuchnią. W jednej ze ścian, za oszklonymi drzwiczkami, znajdowała się wnęka wyposażona w solidny granitowy blat.

Wydałem kwant energii, żeby uruchomić runy. Rozjaśniły się przyjemnym błękitnym blaskiem i na blacie pojawiła się nowa dostawa: kilka jabłek, warzywa na zupę, pomidory, bochenek świeżego chleba oraz kura zawinięta w gruby papier. Podczas wyjazdów z własnej inicjatywy zajmuję się również gotowaniem. Gdyby zostawić Meg samą sobie, żywiłaby się wyłącznie kanapkami ze smalcem z dodatkiem kiszonych ogórków.

Chociaż posługuję się pomniejszą magią, nie jestem aktywnym Źródłem. Nie gromadzę dziesiątek czy nawet setek jednostek jak Czarna Meg i każdy inny czarodziej. Nie potrafię kształtować energii w zaklęcia, poza najprostszym – Kulą Światła – co i tak wymaga ode mnie olbrzymiego wysiłku. Znam się na codziennych urokach i to tyle. Jediną rzeczą, jaką robię dobrze, jest przetwarzanie mocy. Mam wysoką pojemność kanałów energetycznych, co zwykle się nie zdarza u osób mojego pokroju.

Ale o tym kiedy indziej.

Mój własny zasób mocy jest stosunkowo ograniczony i wynosi – jeżeli mam dobry dzień – mniej więcej dwadzieścia pięć kwantów magii, czyli trochę ponad pełną jednostkę. Jakies dwieście czy trzysta razy mniej niż zasób Meg.

Krażyłem po domu, wydając kwanty na hydraulikę, bojler i, ku wyraźnemu niezadowoleniu Śliwki, runy antymysie. Naładowałem także kilka mniej oczywistych

lokalizacji, na przykład schody i ściany, które bez regularnego zasilania zwinęłyby się z powrotem.

Wreszcie skończyłem pracę wewnątrz i przeszedłem do ogrodu.

Składane domy mają pewną ciekawą właściwość. Kiedy się zwijają, rośliny okalających je roślin zamiera. Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie wchodzi w hibernację, mimo że kiedyś przez całe trzy miesiące usiłowałem to rozszyfrować. Najwidoczniej firma Arte Benare nie bez powodu odnosi sukcesy na rynku – wiedzą, jak utrzymać w tajemnicy swoją technologię.

W każdym razie uprawa warzyw i owoców nie miała większego sensu. Jabłoń, którą dołączano do zestawu, od kilkunastu miesięcy była obsypana miniaturowymi zielonymi jabłuszkami i kompletnie nie zsynchronizowała się z rocznym cyklem wegetacyjnym. Co innego, jeżeli chodzi o zioła. Pozostawały wiecznie świeże, a przy umiejętnym zastosowaniu uroków wspomagających wzrost zawsze mieliśmy ich pod dostatkiem.

Pochylałem się właśnie nad zielenią, kiedy na ścieżce pojawił się burmistrz Randall Hardy. Zmierzał ku mnie szybkim krokiem, zdyszany, czerwony i zaaferowany; mięsień piwny przelewał mu się nad paskiem. Napotkawszy moje spojrzenie, posłał mi zmęczony uśmiech, który sprawił, że jego oczy utonęły w zmarszczkach.

Tutaj skorzystam z okazji i ostrzegę was przed politykami, którzy wyglądają tak pocziwie, że bez wahania powierzylibyście im opiekę nad własnymi dziećmi. Nie dajcie się na to nabrać. Gdyby mogli, wyhodowaliby sobie sierść i zaczęli mrużyć, a wtedy bylibyśmy zgubieni.

Przechylił się przez płot i zerknął na moje dłonie – szorstkie, spracowane, pokryte drobnymi bliznami, a teraz dodatkowo żółte od soku. Obok, na trawie, stał koszyk pełen pączków archicelli. Uśmiechnąłem się szeroko i wytarłem ręce w spodnie.

– Witam, panie Thorpe! – zawołał burmistrz. – I co tam porabiamy?

– Zbieramy pączki archicelli, jak widać – odparłem i wskazałem kobiałkę. Randall Hardy pokiwał głową, udając zainteresowanie tematem, więc kontynuowałem: – Pożółkły przez noc, co znaczy, że ich aktywny składnik osiągnął szczytowe stężenie. Trzeba je zerwać, zanim się otworzą, inaczej staną się bezużyteczne.

Ściągnął usta, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Widzę, że zna się pan na robocie. Moja matka była zielarką. Nie pracuje, odkąd pamięć zaczęła ją zawodzić.

– Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

– Taka jest kolej rzeczy. – Popatrzył w stronę domu. – Kiedy wyruszacie? Minęły już cztery dni, ludzie zaczynają się niepokoić.

Westchnąłem. Dość często mieliśmy do czynienia z tym problemem. Stereotyp czarodzieja, jaki przeniknął do powszechnej świadomości, pochodzi przede wszystkim z brukowców, pulpowych powieści i sztuk. Ludzie zawsze oczekują od magów niemożliwego. Czarodzieje powinni dokonywać błyskotliwych odkryć przy porannej herbacie, rozwiązywać starożytne zagadki w ułamku sekundy, ratować dziewice, bujać się na żyrandolach i wysadzać wszystko w powietrze za pomocą kul ognia.

Maniakalny rehot, ma się rozumieć, jest ich atrybutem niepodlegającym dyskusji. Nieważne, ile popularnoma-gicznych broszur znajdzie się w druku, ludzie i tak nie chcą pamiętać o trudzie, nudzie i znoju, jakie również są udziałem tej profesji.

– Mamy do czynienia z autentycznym duszozmokiem – przypominałem. – Musimy wiedzieć o nim wszystko, inaczej odgryzie nam głowy na dzień dobry. Meg siedziała wczoraj nad szklaną kulą ze dwanaście godzin, a mnie oczy wypływają od czytania. Prawie skończyliśmy. Lada chwila powinna przybyć lady Chamomille i jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaczynamy jutro z samego rana.

Randall unikał mojego wzroku.

– Proszę posłuchać, nie chcę podważać waszego profesjonalizmu... – Zawahał się, zniżył głos. – Panie Thorpe. Proszę mówić szczerze. Czy pańska szefowa wie, co robi? Bez urazy. Lady de Breville nie wydała mi się bardziej ekscentryczna niż inni czarodzieje, których miałem okazję spotkać, ale... słyszałem niepokojące pogłoski...

Uniosłem brwi. To prawda, moja pracodawczyni miała określoną reputację.

– Ma pan na myśli te wszystkie powiastki i piosenki o szalonej Czarnej Meg?

– Cóż...

– Czasem słucham ich w karczmach. Ewoluuują.

– Czyli to wszystko bajki.

Popatrzyłem mu prosto w oczy. Nie mogłem zaprzeczyć wprost. Niektóre z tych historyjek osnuto na kanwie prawdziwych wydarzeń i każdy, kto umiał czytać, mógł

to sprawdzić. Nabrałem pewności, że Randall przed tą rozmową sięgnął do źródeł i teraz po prostu mnie testuje. Świetnie, po prostu świetnie. Jeszcze tylko nam brakowało nieufności miejscowego burmistrza.

– I tak, i nie – odparłem. – Mechanizm powstawania plotek jest zawsze taki sam, zwłaszcza kiedy biorą się do tego przeciwnicy polityczni. Panie Hardy, proszę posłuchać. Margueritte jest jednym z najbystrzejszych, najbardziej zrównoważonych i racjonalnych magów, jakich pan kiedykolwiek spotka. Jej pomysły działają. Nawet jeżeli robią na ludziach takie wrażenie jak jazda kolejką górską bez trzymanki, działają. Naszym obecnym przeciwnikiem jest cholerny starożytny duszozmok z czasów Wojen Rozdarcia. Żeby pozbyć się czegoś takiego, nie można myśleć schematycznie. Zapewniam pana, że Gildia przysłała najlepszego specjalistę, na jakiego mogła trafić.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Cóż, miło mi to słyszeć.

Zmarszczył brwi, a ja zastanowiłem się, o co tutaj chodzi. Randall Hardy nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który aż do tego stopnia przejmuje się plotkami. Wreszcie mnie olśniło.

– Jest coś jeszcze, prawda?

Skinął głową.

– Odkryliśmy nową rozpadlinę w lesie na południe od Ombre, niedaleko Katarakty Bretańskiej. Nie wiemy, czy ma coś wspólnego ze smokiem, ale już osiągnęła dwieście stóp długości i nadal rośnie.

Zmrużyłem oczy. Rozpadliny zwykle nie pojawiały się tak daleko od Granicy. Czyżby Pustka znowu za-

częła się rozprzestrzeniać, po raz pierwszy od pięciu dekad? Możliwe, że to tylko skutek uboczny działań smoka. Ale...

– Pełno tam pustkostworów, na razie głównie erlingów, chociaż Straż Graniczna zatłukła już jednego trola – kontynuował burmistrz. – Powiedzieli, że dadzą radę się utrzymać przez kilka dni, ale nie dłużej. Musimy ją zamknąć. Potrzebujemy czarodzieja.

Czyli to dlatego zachowywał się tak, jakby ziemia zaczęła mu się palić pod stopami. Z duszosmokiem od wschodu i rozpadliną od południa Ombre było poważnie zagrożone. Gdybyśmy spaprali zadanie, mielibyśmy na sumieniu kolejną masakrę w Loranne. W razie braku Straży patrolującej Granicę Pustka zacznie pochłaniać kolejne terytoria. Następne miasto przepadnie w Ziemiach Utraconych. Istniało ryzyko, że nie skończy się na Ombre. Zawsze gdy magia wymyka się spod kontroli, Pustka rośnie w siłę. Ludzie ulegają skażeniu i pojawia się coraz więcej potworów, co z kolei znów zasila Pustkę. Im dłużej to trwa, tym trudniej powstrzymać proces. Jeżeli Granica ulegnie destabilizacji, trzeba będzie zebrać całą armię czarodziejów, aby zapobiec kolejnemu Rozdarcu.

– Rozumiem.

– Gdybyście uporali się ze smokiem w dzień lub dwa, jak pan mówi, ile czasu zajęłaby wam rozpadlina?

Myślałem nad tym dłuższą chwilę.

– W przeciwieństwie do smoka – odparłem wreszcie – na takie okazje istnieją już gotowe zaklęcia i procedury. Będziemy jednak wyczerpani. Lady de Breville

musi odpoczywać przynajmniej całą dobę, żeby odzyskać moc. Porozmawiam z nią, ale nie zaszkodzi mieć w zanadrzu planu zapasowego. Nawet z pomocą lady Belinde...

Usłyszeliśmy perlisty śmiech, któremu towarzyszył stukot wysokich obcasów. Obejrzałem się przez ramię i moim oczom ukazała się kobieca sylwetka. I to nie było jaka.

Belinde Chamomille miała doskonałą figurę klepsydry. Nosiła dopasowaną błękitną suknię z falbanami, która wedle najnowszych wskazówek mody odsłaniała dekolt – a stanowczo było co odsłaniać. Jej gęste złote włosy spływały w łagodnych falach aż do talii. Mogłaby pozować dla „Playwizarda”. Prawdę mówiąc, kiedyś to zrobiła.

Krok w krok za nią podążała nieco mniej imponująca postać, młoda kobieta o przedwcześnie posiwiałych włosach – dziedzictwo rodu d’Argent. Była krótko ostrzyżona i ubrana w proste lniane szaty ucznia. Nieszczerólnie ładna, o jasnych oczach i zadziornym uśmiechu, sprawiała dość sympatyczne wrażenie.

O wilku mowa. Oto nasze wsparcie.

– Pozwoli pan, że przedstawię naszych gości – rzekłem i się ukloniłem. – Lady Belinde Chamomille de Branche d’Emeraude i jej uczennica, lady Kathryn Verd de Branche d’Argent.

– Och – zająknął się burmistrz. – Och! *Enchanté*, szanowna pani. Lady Chamomille, z najwyższym szacunkiem witam panią w Ombre.

Randall Hardy, poważny mężczyzna po pięćdziesiątce, zarumienił się jak pryszczaty nastolatek. Belinde wyglądała jak duża blond bogini miłości i bardzo się stara, żeby robić piorunujące wrażenie. Jeżeli ktoś się nabierze, zanim się obejrzy, wpadnie po uszy w jedną z dziesiątek uknutych przez nią intryg. Na szczęście znałem ją dość długo, żeby się nieco uodpornić.

– Och, ja również się cieszę, że pana widzę! – Belinde nadstawiła dłoń do pocałunku, po czym zwróciła się do mnie: – Vince, słonko, daję słowo, że jesteś przystojniejszy za każdym razem, kiedy się widzimy.

– Taki już mój prosty urok asystenta. – Zerknąłem na jej stopy. – Niewiarygodne. Te szpilki są magiczne, prawda?

– Ależ oczywiście, kochanie. Pozwalają utrzymać równowagę w każdym terenie i warunkach pogodowych. Niestety, to jedyny egzemplarz i nie są w twoim rozmiarze.

– Co za szkoda. Przydałyby się jako broń na smoka.

– Mój drogi, zaskakujesz mnie. Nie wiedziałam, że zgłosiłeś się do samobójczej rycerskiej szarży.

– Myślałem raczej o samoobronie. Wiesz, w razie gdyby smok pożarł wszystkie bezbronne niewiasty.

Lady Chamomille parsknęła śmiechem. Miałem trzymać się za nimi, przetwarzać magię w razie potrzeby, przynosić, podawać i zamiatać. Walka ze smokiem nie należała do moich obowiązków. Nawet Kathryn, która jeszcze nie przystąpiła do egzaminów dyplomowych, miała znacznie więcej mocy niż ja. W bezpośrednim starciu przeciwnik po prostu by mnie rozniósł.

– Proszę, Vince. – Kathryn wręczyła mi teczkę, która pękała w szwach od papierów. – Mapy i tabele. Wszystkie przeliczone i gotowe do użycia.

Zwróciłem się w stronę burmistrza, który tkwił w miejscu jak ten kołek, najwidoczniej wciąż pod wpływem lady Chamomille.

– Dziękuję za wizytę, panie burmistrzu. Proszę wybaczyć, ale obowiązki czekają.

Otrząsnął się i skinął głową.

– Ach. Oczywiście. Zatem życzę powodzenia łaskawym paniom i panu, panie Thorpe. Proszę pamiętać o rozpadlinie.

– Ma się rozumieć – zapewniłem. I poprowadziłem gości do chatki czarodziejki.



Podawałem herbatę w salonie, kiedy wreszcie zjawiła się Margueritte, ubrana w tę samą suknię co wczoraj, z przekrwionymi oczami i fryzurą przypominającą ptasie gniazdo. Trzymała plik gęsto zapisanych kartek. Poczulem ciarki. Coś niewątpliwie wisiąło w powietrzu.

– Panie i panowie – zaskrzeczała i odkaszlnęła. – Wczoraj dokonałam przełomowego odkrycia.

Stolik był zarzucony tabelami, książkami i monografiami. Starożytnie ręcznie rysowane mapy mieszały się swobodnie ze współczesnymi, drukowanymi. Na szczycie tego stosu leżał automagiczny kalkulator, a po dywanie poniewierały się otwarte zeszyty. Połowę tego bałaganu stworzyliśmy razem z Meg przez cztery dni pracy,

o resztę zadbały Belinde i Kathryn w ciągu ostatniego kwadransa.

– Och! Cudownie! Oczywiście, że dokonałaś, w końcu jesteś genialna! – zaćwierkała Belinde. Meg rozpromieniła się jak prymuska na rozdaniu dorocznych nagród. Nie potrafiła się oprzeć komplementom, chociaż wiedziała, że lady Chamomille chwali ją przy każdej, najbłahszej nawet, okazji.

Uściskały się serdecznie. Znały się od wieków. Dosłownie. Wymieniały uprzejmości przez następne dziesięć minut, więc po prostu nalałam do filiżanek kolejną porcję herbaty. Nie musieliśmy sobie wiele wyjaśniać. Czarodziejki rozmawiały już wcześniej przez szklane kule.

– Czy znalazłaś wreszcie metodę na zwiększenie siły uderzenia duchowego? – Belinde zerknęła na kartki, które przyniosła Meg. Problem polegał na tym, że nasz cel był odporny na wszystkie zaklęcia bojowe oprócz tych, które służyły do pozbywania się upiorów. Co gorsza, mógł na bieżąco ciągnąć energię z rozpadliny w bezpośrednim sąsiedztwie legowiska i uzdrawiać się szybciej, niż odnosił rany. Razem z Meg próbowaliśmy podrasować zaklęcia lub wymyślić sposób na odcięcie duszoscoka od źródła mocy, ale wszystkie strategie, jakie opracowaliśmy do tej pory, dopinały się na agrafki.

– Od dłuższego czasu rozważam zupełnie inny pomysł, potrzebowałam tylko pewnych danych. – Meg przejrzała mapy i tabele przyniesione przez Kathryn. Prawdopodobnie już zapoznała się z materiałem przez szklaną kulę. – Raczej nie damy rady go odciąć. Granica jest zbyt blisko,

wszyscy uleglibyśmy skażeniu. Istnieje jednak znacznie łatwiejszy sposób, żeby wykończyć smoka.

Pociągnęła łyk herbaty z filiżanki, zadowolona z siebie jak kot.

– Zaczynamy według starego planu. Ty i Kathryn robicie krąg, ja dodaję fraktale. Stabilizujemy drania. Zaklęcia ochronne, rozpraszające itp. Gdy już będzie unieruchomiony, rzucamy jedno proste Wyssanie Magii. Pilnujemy Vincenta, a on przetwarza całą tę moc. Widzicie, duszosmok składa się z czystej energii. Musi cały czas podtrzymywać swoje struktury cielesne. Jeżeli Vince zachowa koncentrację przez jakiś kwadrans, potwór zwyczajnie wyparuje.

Wszyscy znieruchomieli. Zamrugalem. Właściwie mogłem się wcześniej zorientować, co planuje. Wiedziałem, nad jakimi zaklęciami siedzi. Ale istnieją pomysły zbyt abstrakcyjne, żeby ktokolwiek poza Meg mógł na nie wpaść.

Chciała, żebym przetworzył całego cholernego duszosmoka.

Jak pamiętacie, jestem wyjątkiem wśród użytkowników magii prostej, jeżeli chodzi o pojemność kanałów energetycznych. W zwykłych okolicznościach potencjał przetwarzania surowej mocy definiuje zdolność Źródła do aktywacji. Tłumacząc z magicznego na normalny: to właśnie pojemność kanałów energetycznych robi z ciebie czarodzieja. Im jest większa, tym więcej dasz radę osiągnąć jako mag. Określa twój potencjał. Decyduje, ile zaklęć – i jak potężnych – będziesz umiał rzucić naraz. Nigdy nie rośnie wraz z doświadczeniem, w przeci-

wieństwie do ilości mocy, z jaką budzisz się co rano. To dlatego ludzie trzymają miniaturowe smoki albo żywiolaki w charakterze chowańców, żeby poszerzyć własne możliwości. Od czasu do czasu ja również przetwarzam magię wspólnie z Meg.

Jestem kimś w rodzaju nieudanego czarodzieja. Kiedy miałem trzynaście lat, zaraz po egzaminach kończących szkołę powszechną poszliśmy razem z kumplem na test przetwarzania. Kolega strasznie chciał zostać magiem, więc postanowił się sprawdzić – a ja dotrzymałem mu towarzystwa. Przetestowali nas obydwu. Wyobraźcie sobie ich miny, kiedy popsułem aparaturę. Nie mieli dość mocy w zapasie, żeby całkowicie wypełnić moje kanały energetyczne. Wyszedłem poza skalę. Wiem, to brzmi, jakbym się przechwalał, ale zapewniam, że mówię prawdę i tylko prawdę.

Wszyscy, rzecz jasna, byli bardzo szczęśliwi. Może oprócz mojego kolegi, którego test wypadł negatywnie (o ile wiem, praktykuje w Creyon rzemiosło jako wiedźma). Magowie Gildii poddali mnie Rytuałowi Przejścia, żeby aktywować Źródło. Potem umieścili w Ogradach Edenu i czekali, aż pojawi się dar. Czekali... czekali... czekali... Minęły trzy tygodnie i nie wydarzyło się zupełnie nic.

Dar magii bywa niekompletny albo wadliwy i wszyscy o tym wiedzą. Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo się rozczarowałem. Pamiętam, że siedziałem na ławce, już po opuszczeniu Ogradów, i czułem się jak kompletny nieudacznik. Chyba nawet płakałem.

– Witaj, chłopcze.

Podniosłem głowę. Najpierw moją uwagę zwróciła dziwaczna fryzura. Dopiero po chwili przyjrzałem się wysokiej damie ubranej w suknię ozdobioną czarodziejскими symbolami.

– Słyszałam o twoich... zdolnościach – powiedziała.
– Widziałam również wyniki egzaminów końcowych. Zdaje się, że potrafisz używać mózgownicy. Mam dla ciebie idealną pracę. Oczywiście, jeżeli się zgodzisz.

Dwadzieścia cztery lata później wpatrywałem się w moją szefową z przerażeniem. Margueritte miała pokerową twarz. Wręczyła mi kartki zapisane od góry do dołu obliczeniami i czekała, aż je przetrawię. Czytałem z rosnącym podziwem.

Na Pustkę, to było czyste szaleństwo.

Ale nie potrafiłem sobie wyobrazić niczego lepszego.

Ciszę przerwało ciche miauknięcie. Śliwka wbiegła do salonu i rozejrzała się wkoło. Niezadowolona, że tym razem nikt nie zwrócił na nią uwagi, wskoczyła na stół i położyła się w papierach. Obróciwszy się brzuskiem do góry, rzuciła jedno ze swoich najbardziej uwodzicielskich spojrzeń.

– Mrau?

Belinde podrapała kota pod brodą. Myślała intensywnie.

– Meg, nigdy nie słyszałam o takiej procedurze. Poza tym jego górny limit nie zmierzono poprawnie, do brze mówię? – Wyjęła mi kartki z ręki. – Pokaż.

– Znamy minimalną wartość i tylko tego nam trzeba. – Meg wzruszyła ramionami.

– A da radę przetwarzać przez cały kwadrans? To jest przecież trudne nawet dla aktywnych Źródeł.

– Przestańcie łaskawie mówić o mnie beze mnie – zwróciłem się do Meg. – Belinde ma trochę racji. Kilka razy przetwarzałem nawet i dłużej, ale nigdy podczas wysokoenergetycznych rytuałów. A już na pewno ani razu nie osiągnąłem limitu.

– I dlatego... – Czarna Meg się uśmiechnęła – ...będziemy przetwarzać wspólnie. Z naszym wsparciem wystarczy, że skupisz się na kontroli przepływu, a z tym świetnie dajesz sobie radę.

Lady Chamomille marszczyła brwi, przeglądając obliczenia.

– Co twoim zdaniem mamy zrobić z taką ilością energii po przetworzeniu? Nie upchniemy jej w akumulatorze, pod ciśnieniem wytworzy się skaza. Nie możemy rzucić tyłu zaklęć naraz. Zresztą te, które odpowiadają naszym potrzebom, są albo nielegalne, albo wymagają wojskowej licencji. Nie wspominam nawet o skutkach ubocznych. Masz jakiś plan?

– Ach, to drobnostka. – Margueritte machnęła dłonią. – Rzucę Zaklęcie Marnotrawstwa.

– Wyjaśnij, proszę...

– W starożytnych rytuałach używano go do pozbywania się nadmiaru energii. – Meg spojrzała na mnie i na Kat, aby się upewnić, że nadążamy. – Moją wersję oparłam na Kuli Światła, zwiększając wartość straty energii do ponad dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. W dawnych czasach dość często używano tej techniki.

Dziś mamy raczej problemy z brakiem mocy, a nie z jej nadmiarem, i magię poddaje się recyklingowi, toteż metoda popadła w zapomnienie.

Lady Chamomille natychmiast przestała stwarzać jakiegokolwiek pozory powagi.

– Och, Meg! Gdyby ktoś się dowiedział... Ludzie wydają majątek na energię. Siedzą na niej jak kwoki na jajach. Zakłęcie Marnotrawstwa! Równie dobrze mogłabyś topić złoto w oceanie! – Klasnęła, strasząc Śliwkę. – Ach, to o-bu-rza-ją-ce!

Meg posłała nam uśmiech wyższości.

– O tak, wyobrażam sobie, co powiedziałby Arcymag Weyland.

– Meg! Nie musiałaś wspominać Weylanda! Teraz ja też go sobie wyobrażam!

Zaczęły chichotać. Dwie czarodziejki, które wkroczyły już w trzeci wiek życia, chichotały jak małe dziewczynki. Przynajmniej śmiech lady Chamomille brzmiał w miarę naturalnie – ale Czarna Meg robi dość upiorne wrażenie.

Popatrzyliśmy po sobie, ja i Kat.

– Twoja szefowa mnie przeraża – mruknęła Kathryn.

– I nawzajem – odparłem. – Nakręcają się doskonale.

– Naprawdę potrafiłbyś tego dokonać?

– Teoria jest bez zarzutu, ale przeliczę wszystko jeszcze raz. – Zerknąłem w stronę naszych pracodawczyń. Zapisywały protokoły zaklęć i nadal chichotały, stanowczo zbyt podekscytowane zadaniem. – Kiepsko by to wyglądało, gdyby w ferworze Meg zdała się na myślenie magiczne.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl
www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
ANTALIS Polska*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redaktor *Sylvia Sandowska-Dobija*
Korekta *Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna, Ewa Mościcka*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna
Agnieszka Czubaszek-Matulka

ISBN 978-83-10-12945-1

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Nasza Drukarnia